№ 29. Warszawa, dnia 18 (6) Lipca 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
*Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Lecz pan będzie zawsze naszym przyjacielem, panie Owanes.

— Pani wie.

— I moim, i męża, i mego dziecka.

W głosie jej drżało tłumione wzruszenie, a w nim rzewność brała górę.

— Tak, niech pani nie wątpi.

— Będziemy więc przyjaciółmi, sąsiadami. Przecież to już dziesięć lat od tego czasu, jak pan opuścił Bessarabię. Dużo się tu zmieniło.

I zaczęła mu opowiadać o znajomych, przyjaciołach, o rodzicach swych, braciach. On słuchał, patrząc na nią wzruszony. Łagodność, która jej biła z czoła jasnego przeciętego już teraz dwiema cieniutkiemi jak pajęczyna sznureczkami zmarszczek, udzieliła mu się. Powoli ostry wyraz zacierał się, rozdrażnienie ustępowało, zlewając się w ton spokoju.

Słońce tymczasem zachodziło. Ostatnie jego promienie przenikały do salonu, ślizgając się po ścianach, zawieszonych zwierciadłami, które gorzały jakby kto ognie w nich pozapalał. Jeden promień wązki, delikatny spadł na jej oblicze i opromienił je. Była przystojną, pomimo trzydziestu swych lat, bardzo nawet przystojną. Na twarzy śniadej o rysach regularnych rozlaną była ta łagodność kobieca, co pociąga i nęci ku sobie. W oczach czarnych, które to rozpalały się, to gasły zupełnie, była przecież cała inteligencya niewieścia przenikająca i odgadująca wszystko.

Rozmawiali już teraz spokojnie, jak dawni znajomi. Z jego oblicza znikło zakłopotanie, niepewność jakaś, a z jej obawa. Patrzyli sobie prosto w oczy po przyjacielsku, wsłuchując się w dźwięki własnych głosów, które im przypominały dawne, lepsze czasy.

— A cóż to Oleś nie wraca, to się zasiedział!

— Pewnie wyruszył cokolwiek dalej niż zwykle.

— Być może. A tu herbatę trzeba podawać. I pan pewnie głodny? — pytała zwracając się do Ohany. — Przecież to kawałek drogi od pańskich Nikoreszt.

— Niech pani o mnie będzie spokojna, zjadłem dość obfity obiad.

W ganku słyszeć się dał odgłos czyichś kroków. Usłyszawszy je mimowoli oboje spojrzeli na siebie: na jego twarzy zjawił się nieznaczny uśmiech ironiczny, a na jej odcień zakłopotania.

— Oleś! Poznaję go po chodzie.

— To pani się już doskonale nauczyła poznawać chód męża — zwrócił się do niej półgłosem.

Nic nie odrzekła na to.

W progu już rzeczywiście stał gospodarz, szczupły, miernego wzrostu, siwiejący porządnie człowiek.

— Jak się pan ma, panie Ohana! — zawołał podając gościowi rękę. — Zkądże to bogi prowadzą? Tak dawno, tak dawno od owego czasu, jak się pan wyniósł z naszej Bessarabii.

Mówił z tą udaną serdecznością, która się zaraz czuć daje. Potem usiadł na fotelu obok żony i wyjąwszy papierośnicę otworzył ją i częstował gościa.

— Może papierosem mogę służyć! Proszę. A to się pan zmienił. Wprawdzie to lat kilka upłynęło, ale zawsze jest zmiana. I cóż tu pana zapędziło z tego oryentu, gdzie podobno złoto na piasku się rodzi?

I roześmiał się ironicznie.

Ohana spojrzał na niego, a w oczach mu błysnął płomyczek mały, nieokreślony i odparł:

— Na piaskach złoto rodzi się w bajkach. Tutaj panowie macie nie piasek, lecz ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą, a złota w niej nie kopiecie.

— Nam nie udaje się w tych czasach kopać złota w naszej ziemi, ale panu, kto wie? Pan taki szczęśliwy. — Wtrąciła gospodyni wesoło. — Z kim fortuna ślub wzięła, temu wierności dochowa do końca.

— To pan majątek kupić myśli w Bessarabii, czy co? — pytał Szymonowicz z podziwem w głosie.

— Już kupiłem, panie!

— Wiesz, Oleś! — zawołała młoda kobieta, — pan Owanes zostanie naszym sąsiadem: kupił magnacką fortunę, Nikoreszty.

— Ho, ho, ho, Nikoreszty?! A to istotnie magnacka fortuna. Nam mówiono o jakimś Greku, a tu tymczasem pan...

— Na Wschodzie, jeżeli nie Turek a Frank, to wszystko Grek. Zresztą Ormianie nie o wiele są lepsi od Greków.

Gospodarz nie zwrócił na to uwagi, kręcił głową i kiwał.

— Nikoreszty, Nikoreszty — powtarzał jakby do siebie, — taki majątek, taka fortuna... To pan tu rej będzie wodził. Chociaż, czy warto było wiązać się z tą ziemią tak kapryśną w tych czasach? Szkoda pieniędzy. Dalibóg, trud rolnika nie opłaca się. I co też pana do kupna zachęciło, przecież nie próżność, na którą tyle Ormian choruje?

Ohana spojrzał na niego z pod oka, a potem na nią, i zapaliwszy świeżego papierosa odpowiadał:

— Co? Najprzód taniość: majątek sprzedawał ten Sabescu za bezcen. Wyobraź pan sobie po 80 rubli dziesięcinę, wliczając w to inwentarz,

stawy, zabudowania i mały lasek. A potem, pieniądz w handlu rzecz niepewna; dzisiaj tak, jutro może być inaczej. Pracowało się krwawo, pracowało się okrutnie i chciałoby się te zapracowane karbowańce na długo zatrzymać, więc cóż z nimi robić? Handel, to chwila! Najlepiej ulokować w ziemi. Jak tam będzie, tak będzie, ale zawsze to najpewniejsze.

— Ma pan racyę, ziemia bądźcobądź jest lokatą najstalszą. Nie urodzi się w tym roku, może się urodzić na rok przyszły; w tym roku cena mała, w przyszłym może się podnieść. Byle przetrzymać cierpliwie złe lata.

— Mój kochany — zwróciła się młoda kobieta do męża, — ty czekasz już tyle lat cierpliwie, a jednak ta cierpliwość procentu ci nie przyniosła. Ja tam myślę, że teraz o tę Bessarabią moją zawadzić nie warto. Dawno minęły dobre czasy, obecnie wynaleźli jakąś hesseńską muszkę, o której nikt 15 lat temu nie słyszał, jakieś syndykaty zbożowe, na których rok rocznie się traci, i Bóg wie co jeszcze. Ja tam wcale nie zazdroszczę panu Owanesowi, iż zamienił życie miejskie wesołe, gwarne, ruchliwe, na tę pustkę stepową.

To ostatnie zdanie wypowiedziane było tonem innym, jakimś nieszczerym—udanym.

— Moja duszo — rzekł Szymonowicz.—Wam, kobietom zawsze się zdaje, że ziemia to jakaś niewolnica, którą zmusić można do wszystkiego. Tak znowu źle nie jest jak sądzisz, przecież ludzie żyją z tej ziemi.

— Żyją, ale jak żyją? Marnieją wśród mołdawskich chłopów!

Rozmowa przerwaną została wejściem lokaja, który stanąwszy u drzwi prosił do podwieczorku:

— Herbata na stole!

Ruszyli się wszyscy z miejsc swoich i przeszli do jadalnego pokoju.

Herbata rozlana czekała już na gospodarzy i gościa.

Przy oknie od werendy stała guwernantka, rozmawiając po cichu ze sporą dziewczynką, córką Szymonowiczów. Zbliżywszy się do córeczki pani Helena — tak było gospodyni na imię — rzekła:

— Zosiu, chodź, zaprezentuję cię panu Ohanie, naszemu nowemu sąsiadowi!

— Panie Owanes, jakże się panu podoba moja córka, prawda, ładna panna? A żeby pan wiedział jak się uczy, jaka sprytna, o tem może zaświadczyć m-lle Alice.

Dziewczynka zrobiwszy grzeczny dyg przed gościem, spuściła oczy w zakłopotaniu ku ziemi i słuchała zarumieniona pochwał matki. Ohana obrzucił ją całą swym przenikliwym wzrokiem, jakby chciał wejrzeć aż do głębi serduszka młodej dzieweczki. Potem nachylając się trochę mówił:

— A cóż to mnie się panienka boi, czy co? Przecież nie jestem taki straszny, chociaż czarny. My wszyscy Ormianie czarni jesteśmy i mamusia taka, tylko panienka się wyrodziła, bo ma niebieskie oczy filuterne i białą płeć.

Patrzył na dziewczynkę i udawał naturalnego, spokojnego, chociaż wzruszenie na nim się odbijało w drgnieniach nerwowych rzęs i w błyskach oczu.

— Niechże pan siada! — zapraszała gospodyni, — proszę bardzo.

— Pan musi być głodny. Nikoreszty daleko, zresztą, tam na pierwszy początek i o żywność pewno trudno. Proszę pana bez ceremonii, do wędliny.

Mówiąc to pani Helena podawała gościowi ciasto i wędliny.

— To ozór wędzony, pan lubi pewnie, może szyneczki więcej?

— Nie, proszę pani! Jeżeli już mam jeść, wezmę się chyba do koziny, to najprzyzwoitsza ormiańska zakąska.

— O, o, o kozinie pan nie zapomniał — zaśmiał się gospodarz.

— O kozinie nigdy się nie zapomina, to coś takiego ormiańskiego, takiego swojego, jak dalekie góry Araratu.

— Co pan tak z tem ormiańtwem wyjeżdża?

— Bo ja się z niem zżyłem i niem oddycham! Byłem w tej pierwotnej ojczyznie naszej, przyglądałem się tej ziemi przodków naszych i czułem się jak u siebie, choć mi się trudno było dogadać z tamecznymi Ormianami.

— To i na to pan miał czas?

— Ja na wszystko mam czas! Anglicy mówią, że czas to pieniądze, a Ormianie powiadają: dziel czas swój na dwie połowy — i mają racyę. Czas musi mieć dwie połowy: jedną, w której się żyje i pracuje, drugą w której się marzy.

I rozmowa poszła w tym samym kierunku. Ohana opowiadał o swoich podróżach, interesach, różnych przygodach i awanturach, które mu się w życiu ruchliwem, jakie pędził, bardzo często przytrafiały. Szymonowicz słuchał z uwagą; znać było po jego minie, iż podziwiając gościa zazdrościł mu, gdyż od czasu do czasu lekkie ironiczne drgnienie przecinało mu zasnute zmarszczkami drobnemi czoło. Ona zaś, cała wpatrzona w opowiadającego, zdała się odczuwać wszystkie jego troski i obawy. Powoli zaczynał działać na jej wyobraźnię ten człowiek przystojny, towarzysz lat dziecinnych. Niejedno lube wspomnienie zakrzepłe, zastygłe stanęło czarem ożywione w umyśle młodej kobiety.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Luźne kartki z Węgier.

(Ciąg dalszy)

II.

Wystawa w Budapeszcie.

Przed samem wejściem na wystawę budapeszteńską, przed główną bramą, znajduje się okrągły budynek, a w tym budynku pokazują panoramę, przedstawiającą zdobycie ziemi Węgierskiej przez lud Arpada.

Wzrok pada nasamprzód na gromadkę jeźdźców, spoglądających z niewielkiego pagórka na rozległą dolinę. Zdala, na skraju widnokręgu bielą się szczyty gór, pokrytych śniegiem, wokoło rozciągają się żyzne równiny, jakby stworzone na pastwiska. Nie brakuje i wody w prześlicznym krajobrazie. Jest to dolina Wołoszy.

Bogate pastwiska podobają się widocznie ludowi koczowniczemu, który przybył z za Uralu wyparty z swoich siedlisk przez plemię silniejsze. Przypatruje się im z rozkoszą sam Arpad, odziany w malowniczy strój wschodni, postać charakterystyczna, dumna; ogarniają je uradowanem spojrzeniem jego podkomendni. Tu będzie im dobrze. Tu będą ich konie i stada bydła miały w bród paszy.

Ale te góry i doliny nie są puste. Mieszka w nich od wieków plemię słowiańskie, jeszcze niedawno silne geniuszem morawskiego księcia. Bohaterski książe nie żyje już, zaś jego synowie kłócą się o dziedzictwo ojcowskie. Teraz więc czas spaść na karki poważnionych ludów i narzucić im swoje wolę.

Dzieje się to w dolinie u stóp pagórka, na którym stoi Arpad. Zewsząd, wszystkimi przesmykami walą się na Słowian hufce przybyszów, uzbrojone w miecz, włócznię i łuk. Strzały ich zasypują gradem okrutnym półnagich, skórami przepasanych tubylców, miecze ich przerzedzają chwiejące się szeregi. Już się Słowianie nie oprą najeźdźcom. Już rzucił ich książe, sędziwy Latorz miecz, i czeka bezbronny na wyrok wroga. W dali, nad rzeką, składa kapłan Madziarów bogom swoim w ofierze białego konia, na prawo, za plecami Arpada, burzą jego ludzie podziemny gród słowiański i wywlekają za włosy niewiasty zwyciężonych. Kapłan słowiański dokonawszy potajemnie ostatniej ofiary, odbiera sobie życie, by nie zginąć z rąk nieprzyjaciół.

Z dumą i radością przypatrują się Madziarowie tej panoramie, która przypomina im tryumf ich przodków. Nawet dzieci wyrażają swój zachwyt głośno. Gromadka uczniów lub pensyonarek staje w obliczu Arpada, a nauczyciel albo nauczycielka tłómaczą im z drukowanego komentarza szczegóły panoramy.

To umieszczenie panoramy przed główną bramą, aby ją każdy widział i ta radość Węgrów rzuca jasne światło na wystawę budapeszteńską. Jest ona nie wystawą w ścisłem, zwykłem rozumieniu, lecz właściwie demonstrancyą polityczną, pierwszym znakiem życia odrębności węgierskiej, usuwanej dotąd zawsze na drugi plan przez przewagę austryacką. Madziarowie poczuwszy się na siłach, chcieli Europie pokazać, że są niezależnym od nikogo, samodzielnym organizmem państwowym, że są Węgrami a nie prowincyą Austryi, i dlatego wybrali sobie rozmyślnie do tej demonstracyi moment historyczny, mający świadczyć o ich prawach do ziemi, na której żyją od lat tysiąca. Należy wątpić, czy inne ludy poddane koronie węgierskiej, oglądają ową panoramę z taką samą dumą i radością jak potomkowie jeźdźców, którzy przybyli z Arpadem w r. 896 w dolinę Wołoszy. Te inne ludy, głównie Słowianie, mieszkali tu przed Madziarami i nie stracili dotąd bynajmniej swojej odrębności. Jak byli Słowianami przed tysiącem lat, tak zostali nimi w mowie, w stroju, w zwyczajach i obyczajach. Zwłaszcza po okolicach górskich przeszedł wpływ rządzącego plemienia bez żadnego śladu. W dolinie rzeki Waog np. słyszy się prawie tylko język morawski.

Nie od razu oczywiście zagarnęły hufce Arpada całą ziemię, należącą dziś do korony św. Stefana. Przez czas dłuższy płynęły w dolinach podgórskich potoki krwi, zanim dawniejsi mieszkańcy ulegli przybyszom. Właściwe panowanie Madziarów zaczyna się dopiero w sto lat później, za czasów prawnuka Arpada-Gezy (972—997), który przyjął wiarę chrześciańską i rzucił trwałe podwaliny późniejszego królestwa węgierskie.

go. Jego syn, św. Stefan dokonał dzieła rozpoczętego przez ojca. On oderwał ostatecznie lud swój od tradycyi pogańskich i starał się go zbliżyć do cywilizacyi zachodniej.

To małżeństwo z cywilizacyą zachodnią, łacińską podkreślają Madziarowie przy każdej sposobności, jak gdyby się wstydzili pochodzenia azyatyckiego. Ma ono ich zaliczać do narodów europejskich, do których właściwie nie należą ani rasą, ani mową.

Znany poeta węgierski, Zrinyi, wołał kiedyś: „Jesteśmy pod każdym względem równi wszystkim narodom Europy." Dumne te słowa wypisano na czele komentarza do panoramy Feszty'ego.

Węgrzy usiłowali wistocie nietylko zlać się z Europą Zachodnią, ale wyrównać jej, i byliby niezawodnie tego celu dopięli, gdyby ich w rozwoju naturalnym nie były powstrzymywały ciągle przeszkody natury politycznej.

Zaledwo ukończyli podbicie kraju, co zatrudniło kilka pokoleń, kiedy im sąsiednie państwa germańskie pozazdrościły bogatych równin. Uporawszy się z Niemcami, musieli odpierać najazdy Mongołów, a następnie Turków, którzy ich po długiej walce zmogli pod Mohaczem (1526 r.). Odtąd nie było mowy o prawidłowej ewolucyi narodowej. Wcieleni jako paszalik, jako prowincya do państwa otomańskiego, rządzeni przez baszów, szarpani bezustanną wojną, musieli Madziarowie przerwać robotę, zaczętą tak pomyślnie przez św. Stefana i prowadzoną dalej przez szereg królów. Nawet wówczas, kiedy wydostali się nareszcie przy pomocy Habsburgów z pod panowania Turków, nie mogli pracować dla siebie. Właściwy ruch umysłowy i ekonomiczny Węgier w rozumieniu dzisiejszem zaczyna się z początkiem bieżącego stulecia. Był to zrazu ruch bardzo wolny, posuwający się ślimaczo naprzód, dopiero ostateczne uregulowanie stosunku Węgier do Austryi (w r. 1867) powołało do życia wszystkie siły różnych ludów, mieszkających w granicach korony św. Stefana i wydało zdumiewające owoce.

Sam Budapeszt zmienił się w przeciągu lat trzydziestu do tego stopnia, że go starsi Węgrzy nie mogą poznać.

Z brudnej, smutnej mieściny stał się błyskotliwą stolicą europejską, nie ustępującą w niczem Wiedniowi lub Berlinowi. Rozważniejsi Madziarowie spoglądają niechętnem okiem na ten gwałtowny, gorączkowy postęp. Są tacy, którzy się po latach niezwykłego rozwoju spodziewają niezwykłej klęski, jakiegoś ogromnego krachu, z którego wyjdzie obronną ręką tylko garstka spekulantów, zbogaconych na patryotyzmie węgierskim.

Ale tych rozważnych i przezornych, zrzędzących: *festina lente!* jest obecnie w Budapeszcie nie wielu. Większość narodu, upojona swobodą, szczęściem, powodzeniem, nagli do pośpiechu, trawiona gorączką wyrównania Europie zachodniej. Ta większość wprawiła w ruch miliony, aby uczynić wystawę jak najświetniejszą.

Nie trudno się domyśleć, że na wystawie, która jest aktem politycznym, zwrócono główną uwagę na jej część historyczną. Część ta nie zostawia w istocie nic do życzenia.

W trzech ogromnych gmachach, wybudowanych w stylu danej chwili dziejowej, usiłowano odtworzyć całą przeszłość Węgier. W budynku w stylu romańskim pomieszczono pamiątki z czasów królów z domu Arpada (od r. 895—1301); w gmachu gotyckim nagromadzono pomniki od r. 1301 aż do r. 1526; w renesansowym resztę aż do czasów ostatnich.

Aż do św. Stefana mieszkali Madziarowie jak wszystkie ludy koczownicze w ubogich chatach, które porzucali, gdy przenosili się z stadami swojemi w inne strony. Dopiero wielki król pomyślał o trwalszych i wygodniejszych domach dla siebie i swojego ludu. On to pokrył kraj gmachami w stylu romańskim, kościołami, klasztorami i zamkami.

Budynek, w którym znajdują się pamiątki z pierwszej epoki dziejowej Węgier, przedstawia klasztor benedyktyński. Jest on dokładną kopią klasztorów średniowiecznych. Tu znajdują się portrety pierwszych królów, obrazy, odtwarzające znane powszechnie wypadki historyczne (wręczenie korony, przysłanej św. Stefanowi przez papieża Sylwestra II, nadanie złotej bulli przez Andrzeja II i t. d.), zbiór monet, pieczęci, dokumentów, stare mapy, różne sprzęty kościelne z najdawniejszej epoki Węgier, zbroje, bronie, zachowane w grobach rycerzów.

Budynek drugi, gotycki, obejmujący pamiątki od r. 1301—1426, wypełniono głównie przedmiotami wojny. Dwóch rycerzów trzymających w pełnej zbroi straż przed drzwiami tego gmachu, strzeże bogatej zbrojowni, dostarczonej przez magnatów węgierskich. Uwagę turysty zwraca na siebie najwięcej sala rycerska Hunyadych, skopiowana wiernie z zamku Vajda-Hunyad. W sali tej nagromadzono zbroje i bronie z dwóch stuleci, uporządkowawszy je chronologicznie. Widzimy tam miecze i rusznice tak ogromnych rozmiarów, iżby ich dziś kilku ludzi nie udźwignęło. Tu pomieszczono także pamiątki po bohaterskim Macieju Hunyady, który był przez długi czas tarczą Węgier. Oprócz zbroi i broni są tu bogate tkaniny, resztki kotar tronowych, złote krzyże, monety i t. d.

Aby dać dokładny obraz życia rycerskiego odtworzono w tym gmachu komnatę z XV stulecia z całem urządzeniem, i bibliotekę w stylu renesansowym. Kosztowne, bardzo ozdobne rękopisy, są do pulpitów łańcuchami przymocowane, aby nie skusiły jakiego amatora starożytności. Na ścianach biblioteki rozwieszono mapy Węgier z różnych epok, dostarczone ze zbiorów prywatnych hr. Aleksandra Apponyi. Bardzo bogata kolekcya przedmiotów kościelnych (pastorały i mitry biskupie, monstrancye, kielichy, mszały i t. d.) zamyka drugi dział historyczny.

Dział trzeci, obejmujący pamiątki od r. 1526 aż do r. 1867, zebrany w gmachu renesansowym, największym ze wszystkich, jest najbogatszy.

Obejrzawszy uważnie część historyczną wystawy budapeszteńskiej, można sobie zdać dokładnie sprawę z całej cywilizacyi Węgier. Jest ona naśladowniczką kultury narodów Europy zachodniej, jej młodszem dzieckiem. Każdy naród, wychowany na cywilizacyi łacińskiej, mógłby urządzić taką samą wystawę, każdy bowiem posiada mniej więcej te same pamiątki. Oryginalnego, własnego stylu, w jakimkolwiek kierunku, nie wytworzył geniusz Madziarów.

T. J. Choiński.

Kalejdoskop Muzyczny.

(Dokończenie.)

Wielce ciekawe a mało po za granicami Francyi znane są okoliczności, które towarzyszyły wprowadzeniu do najgłośniejszej opery Aubera *niemej* bohaterki.

Początkowo siostra Masaniella, jako śpiewaczka dramatyczna, miała stanowić przeciwstawienie koloraturowej Elwiry tak samo, jak Masaniello stanowił przeciwstawienie księcia. Szkic opery i libretto już były gotowe, gdy pomyślano o obsadzie ról.

„Wiadoma rzecz"—pisze Hanslick—iż kompozytorowie francuzcy nie bawią się w idealizm kompozytorów niemieckich, którzy, zasiadłszy przed biurkiem, piszą opery dla siebie, nie myśląc o warunkach wykonania. Praktyczny francuz przedewszystkiem liczy się z okolicznościami, umożliwiającemi lub nie, powodzenie. Za czasów Aubera, po usunięciu się pani *Branchu* ze sceny, nie było w wielkiej operze paryzkiej ani jednej pierwszorzędnej śpiewaczki dramatycznej, zdolnej do odtworzenia roli Fenelli, zwłaszcza wobec artystki tej miary, co koloraturowa śpiewaczka, pani *Damoreau-Cinti*, której powierzono partyę Elwiry. Wielką sławą cieszyła się wtedy natomiast tancerka, panna *Noblet*, której mimika, zwłaszcza w scenach dramatycznych, budziła podziw i zachwyt ogólny. Wyjątkowy talent znakomitej artystki naprowadził Auber'a i librecistę Scribe'go na myśl wprowadzenia do opery niemej bohaterki z p. Noblet w tytułowej roli. Próba wypadła znakomicie. Dziwne zestawienie milczącej Fenelli ze śpiewającem otoczeniem naprowadziło Auber'a na szereg niezmiernie szczęśliwych pomysłów. Melodramatyczny akompaniament do każdego ruchu i gestu Fenelli stanowi nietylko najpiękniejszą część partycyi, ale w ogóle należy do najszlachetniejszych i najbardziej wyrazu pełnych kompozycyi nowoczesnej muzyki.

Niema z Portici zyskała ogromne powodzenie, co obudziło w Paryżanach chęć uczczenia w podobny sposób drugiej słynnej podówczas tancerki, p. Taglioni. Zwrócili się oni do Auber'a i Scribe'go z prośbą o napisanie nowej opery z tańczącą bohaterką w głównej roli. Próba tym razem, niestety, wypadła mniej pomyślnie. Wystawiona w 1830 roku opera p. t. *Bóg i bajaderka* z p. Taglioni na czele należy do rzędu najsłabszych prac Auber'a. Podczas gdy Fenella łączy się z organizmem muzycznym, a nawet poniekąd poddaje mu się z wielką pokorą i skromnością, bajaderka usiłuje od początku do końca zaćmić sobą wszystkich, skutkiem czego rujnuje całość.

Kompozytorowie ostatniej doby, idąc za wzorem starszych, również często tworzą całe partycye dla danych śpiewaków wyłącznie. Leoncavallo np. napisał swego *Chattertona* dla wygwizdanego u nas Włocha, Lucignanie'go. Zmarły niedawno Thomas stworzył trzyaktowy swój *Karnawał wenecki* dla p. Cabel, której giętkie gardziołko odtwarzało pod nazwą pieśni bez słów cały koncert skrzypcowy.

Że dobre wykonanie podnosi niezmiernie wartość dzieł muzycznych, o tem dwóch zdań nawet być nie może. Do dziś dnia z tytułami wielu oper związane są nazwiska śpiewaków, którym kompozytorowie zawdzięczają powodzenie dzieł swoich. I tak: Meyerberowską *Dinorę* rozsławiła Patti, *Rienzi'ego* Wagnera — Niemann. Operę Masségo *La reine Topase*, która upadła wszędzie, utrzymała w Paryżu na repertuarze przez czas długi p. Miolan.

Przykładów podobnych naliczyć można całe szeregi. Dostarcza ich poniekąd i nasz przygodny, od upodobań występujących w danym sezonie zależny, repertuar operowy. Mówiąc np. o *Mignon*, mamy zawsze na myśli p. Heller, która operę tę wprowadziła na naszą scenę, ciesząc się w niej zawsze wielkiem powodzeniem. Z Hamletem związana jsst ściśle postać Battistini'ego, z Romeem—Jana Reszke i Myszugi — z Elwirą w Purytanach p. Pacini.

Występując w takich operach, jak Faworyta, Łucya z Lamermooru, Purytanie, Ernani i t. p. obecni nasi artyści wkładają w nie odmienne od dawnego pojmowanie charakterów i typów. Niegdyś zadawalniała słuchaczy w śpiewakach mimika czysto baletowa; obecnie wymagamy od nich gestykulacyi artystów dramatycznych, odtwarzającej ściśle najdrobniejsze szczegóły powikłań psychologicznych.

W drugiej połowie naszego wieku koloratura i liryka ustępuje miejsca dramatowi. Meyerbeer już uczucia i myśli swoje wyraża raczej w akordach, aniżeli w przeładowanych koloraturą frazesach melodyjnych. Dramatycznemu kierunkowi kompozycyi towarzyszy dramatyczny kierunek śpiewu. Niezbyt dawno jeszcze żądano od muzyki, aby w ogólnych zaledwie konturach zarysowywała charakter osób i akcyi. Dziś tak dalece wymagamy dokładnej charakterystyki tego, co dzieje się w duszach, występujących na scenie bohaterów, że fale samej tylko melodyi nużą nas już i nie nasycają. Słuchamy nietylko uchem, ale uczuciem i myślą, która poszukuje prawdy i treści w złudzeniu scenicznem. Typ t. zw. czysto koloraturowych artystek zanika skutkiem tego coraz bardziej, pomimo iż pojęcia koloratury i dramatu nie wykluczają siebie wzajemnie.

Są role — pisze wzmiankowany tutaj już parokrotnie krytyk niemiecki — pozbawione najzupełniej pasażów i trylów, a jednak nie można ich nazwać dramatycznemi; z drugiej strony pełno mamy partycyj, wybitnie dramatycznych, upstrzonych tak dalece różnemi głosowemi ozdobami, iż odtworzyć je może tylko artysta, wyćwiczony w szkole koloratury. Z historycznego punktu widzenia, przeciwieństwa te jeszcze mniej dają się uzasadnić, aniżeli przez pojęcia zdrowej logiki. Mozart wraz z włoskimi swymi poprzednikami uznawał jako primadonny jedynie śpiewaczki, łączące świetną technikę głosową z patetycznem odtwarzaniem recitatiw oraz akcyą namiętną.

Przeważała zwykle jedna lub druga właściwość, nie znajdziemy u Mozarta wszakże ani jednej pierwszorzędnej partycyi operowej, która nie zawierałaby ich obydwóch. Donna Anna, Elwira, Hrabina, Zuzanna stanowią dramatyczne i zarazem koloraturowe partycye. Jako dowód, że i wielu późniejszych kompozytorów nie znało jeszcze ścisłego rozgraniczenia między śpiewem czysto koloraturowym a dramatycznym, służyć może napisana dla Pasty *Norma* Bellini'ego. Różnice owe występują na jaw wyraźnie dopiero u Meyerbeera w rolach takich, jak: Alicyi i Izabelli, Walentyny i Małgorzaty. Meyerbeer dzieli primadonny na wirtuozki koloraturowe i dramatyczme. Verdi, a zwłaszcza Wagner uznają jedynie śpiewaczki dramatyczne, t. j. takie, które nietylko nie władają koloraturą, ale jej z łaski mistrzów kompozytorów nawet nie potrzebują. Obecny charakter ról śpiewaczych zależy głównie od wykonawców. Arya o nastroju namiętnym, nacechowanym pewną brawurą, może stać się koloraturową w ustach śpiewaczki koloraturowej i przeciwnie. Charakter oper przedstawia dla pomysłowości aktorów tak obszerne pole, że właściwie nie należy pytać obecnie, czy dana rola ale, czy przedstawiająca ją artystka jest dramatyczną lub koloraturową i w jakim stopniu? Dawniej, za czasów wielkich akademii muzycznych, każda śpiewaczka pracą i wytrwałością dochodziła do władania głosem swoim tak, jak włada instrumentem pierwszorzędny skrzypek lub flecista. Jeżeli dzisiejsze primadonny nie odpowiadają nieraz zadaniu, to nie dlatego, aby miały cechy wyłącznie dramatyczne, lecz poprostu z powodu zupełnego braku szkół, umożliwiających dawną tresurę głosową.

Na pochwałę teraźniejszych śpiewaków powiedzieć można, iż koloraturowymi popisami nie psują intencyi autora. Dawniej śpiewak, tracąc lata całe na wyuczenie się jednego pasażu lub tryla, korzystał z każdego przejścia, z każdej parokrotnie powtórzonej melodyi, by wpleść w nią własne swoje pomysły, ozdoby, waryacye. Liche utwory zyskiwały nieraz na podobnej, smaku estetycznego pozbawionej samowoli, dobre jednak traciły. Słynne koloraturowe śpiewaczki z przed lat trzydziestu ozdabiały wykrzyknik Agaty w *Wolnym Strzelcu*: „O piękna nocy!" wstrętnym, psującym efekt całości pasażem, którego nie słyszymy obecnie. Dzisiejsi śpiewacy nierównie ściślej trzymają się tekstu, czy to z powodu mniejszej zuchwałości a więcej udoskonalonego smaku muzycznego, czy też — co wielce prawdopodobne — z powodu mniejszej biegłości i wytrwałości krtani.

Ambicyą i zuchwałość dawnych mistrzów wokalnych odziedziczyli dziś natomiast, zdaniem Hanslicka, malarze i maszyniści dekoracyjni wraz z całą rzeszą pomocników swoich. Celem ich nietyle wzmocnienie wrażeń dźwiękowych, ile odwrócenie uwagi słuchaczy od muzyki, ku własnym produkcyom artystycznym. Kilka lat temu, przy wystawieniu w Wiedniu Fletu zaczarowanego Mozarta, dział dekoracyjny powierzony został znanemu malarzowi, Józefowi Hofmanowi, który porobiwszy odpowiednie egiptologiczne studya, wykazał ścisłość niezmierną w odtworzeniu nietylko flory, fauny, oświetlenia, pomników i ubiorów, ale nawet najmniej znaczącego hieroglifu. Publika skutkiem tego podążała do teatru nie tyle dla wysłuchania uroczej muzyki, ile dla wystudyowania Egiptu pod względem etnograficznym, botanicznym i filologicznym. Hofman udzielał sam objaśnień, zaznaczając, ile trudu kosztowało go urządzenie dekoracyj tak, aby wiernie zastosowane były do wskazówek libretta.

Czy podobna ścisłość jest pożądana? Hanslick woła głośno: *nie!* W tym punkcie jednak staje on na wręcz odmiennem stanowisku od pojęć nowoczesnych kompozytorów, którzy, z Wagnerem na czele, uważają za konieczność podtrzymywanie wrażeń muzyczno-psychologiczno-dramatycznych przez tło dekoracyi. Prawda, że za czasów Mozarta kładziono główny nacisk na muzykę, i że ani Mozartowi, ani autorowi libretta *Fletu zaczarowanego* nie chodziło o zbytnią ścisłość egiptologiczną. Za zasługę jednak nowszej epoki uważać należy, iż dba o większą estetykę dekoracyjną, niż dawniej.

Przed kilkunastu laty jeszcze mieliśmy stałe szablony: sal balowych, izb wieśniaczych, ogródków przed oberżą, stosowane mniej więcej do wszystkich oper, dramatów i komedyi. Artyści rzadko kiedy porozumiewali się z malarzami co do kostyumów swoich, skutkiem czego odskakiwały one zwykle barwą i krojem od tła dekoracyi.

W bogatych teatrach każda większa opera ma dzisiaj swoją wyłączną wystawę, ściśle do wskazanej przez kompozytora epoki zastosowaną. Trudno powiedzieć to o naszej scenie, gdzie w starych zwłaszcza, rzadko kiedy wystawianych operach, kostyumy dam dworskich przedstawiają taką pstrą mieszaninę wszystkich wieków przed i po Chrystusie, że odgadnąć z nich wskazany przez libretto okres czasu byłoby niemożliwością.

Świetne wystawy sceniczne znane przedtem w takich tylko operach, jak *Armida* Glucka, *Semiramida* Rossini'ego, wprowadził na stałe Meyerbeer; przerażały one jednak czasami nawet jego samego. Na próbie jeneralnej swego *Roberta Dyabła*, widząc przygotowany do 3 go aktu cały szereg tak świetnych dekoracyi, o jakich nawet i w Paryżu prawie że nie miano przedtem pojęcia, mistrz ze smutkiem zawołał:

— Wszystko to piękne, bardzo piękne, lecz nie wierzycie widocznie w powodzenie mojej muzyki, skoro taki tryumf zapewniacie dekoracyom!

Pierwsze przedstawienie *Żydówki* Halevy'ego w 1835 roku przewyższyło pod względem dekoracyjnym jeszcze o wiele *Roberta Dyabła*. Koszta wystawy wynosiły 150,000 franków. Przepych urządzenia sceny i kostyumów zdumiewał wszystkich, co nieprzyjaciołom Halevy'ego posłużyło za powód przypisania niebywałego powodzenia opery, zewnętrznej jej szacie jedynie.

W trzydzieści lat później maszyniści i dekoratorzy, wystawiający dziwaczną *Królową Saby* Gounod'a, mieli za zadanie prześcignąć w sztuce swej wszystko, co dotąd na tem polu było zrobione. Gounod w drugim akcie przedstawia wielkie rozpalone piece. Arena sceniczna przemienia się w morze, pełne falującej, roztopionej lawy. Płonie jakby teatr cały, aż nareszcie wśród huku i trzasku szalonego rozpryskuje się w powietrzu piec olbrzymi wraz z otaczającem go prowizorycznem rusztowaniem.

W Paryżu zabroniono przedstawień tej opery z powodu grożącego niebezpieczeństwa pożaru. W Darmsztacie urządzono maszyneryę po mistrzowsku tak, iż nie należało obawiać się katastrofy.

Z ostatnich oper najświetniejszą wystawą pociągała *Aida* Verdi'ego, napisana, jak wiadomo, na wyłączne żądanie kedywa. Nad dokładnem odtworzeniem Teb, Memfisu i świątyni Ptah pracowało kilku poważnych egiptologów, co wraz z urządzeniem odpowiednich maszyneryj pociągnęło znaczne koszta za sobą.

Punkt kulminacyjny ścisłego zastosowania dekoracyj i kostyumów do wymagań libretta stanowi teatr w Beyreuth.

Jeżeli cykl zapowiedzianych tam przedstawień dojdzie do skutku, to przekonamy się wkrótce,

o ile wola, zapatrywania, szerzone piórem, słowem i czynem teorye muzyka przyszłości, uszanowane zostały w kilka lat po jego śmierci.

Cecylia Walewska.

Kobieta niemiecka.

Po Rumunce, Francuzce i Hiszpance przyszło z kolei Niemce przedstawić się światu na szpaltach miesięcznika „Revue des revues." Z prośbą o charakterystykę kobiety niemieckiej zwrócił się przegląd francuzki do pani Laury Marholm.

Niektóre prace autorki tej drukowane były w warszawskiej „Prawdzie," nazwisko jej zatem pewnym przynajmniej kołom czytelników polskich nie może być obcem. Laura Marholm jest to umysł paradoksalny nieco, ale bardzo przytem subtelny i pełen oryginalności. Znawczyni duszy kobiecej, rozumie ona najdelikatniejsze jej drgnienia, posiada dar wnikania w jej tajniki, umie mówić o niej, niby o krainie, niedostatecznie dotąd zbadanej, której tajemnicze ustronia, przepaściste głębiny, dziwne, gdzieindziej nie spotykane krajobrazy, odsłania przed naszemi oczami. Zdawałoby się zatem, że powierzając jej nakreślenie sylwetki kobiety niemieckiej, redakcya miesięcznika paryzkiego jak najtrafniejszy zrobiła wybór. Co do nas jednak wyznajemy, iż tym razem praca p. Marholm nie zadawalnia nas wcale. W opracowaniu jej sylwetka owa wyszła dziwnie mglisto i niewyraźnie. Na obronę autorki powiedzieć trzeba, że namalowanie takiej postaci typowej, która powinna posiadać wszystkie charakterystyczne rysy plemienia czy narodu, nie należy bynajmniej do zadań łatwych. Czuje to p. M. i rozpoczyna od wykazania trudności przedstawiających się specyalnie na gruncie niemieckim.

Mam mówić o Niemce — powiada — lecz o jakiej? Pomiędzy Prusaczką, Bawarką, Wiedenką istnieją różnice tak wielkie, że tych ilości różnorodnych niepodobna sprowadzać do wspólnego mianownika. W dalszym ciągu o jakiejże sferze mówić mi należy? W Niemczech granice pomiędzy klassami wyraźniej są zaznaczone niż gdziekolwiek. Tu nie ma przejść, półcieni i półtonów.

Zaznaczywszy jednak te trudności, autorka nie zatrzymuje się dłużej nad niemi, i w dalszym ciągu mówi o Niemce w ogólności, o Niemce ze sfery średniej.

Zamknięta w życiu domowem, kobieta niemiecka nie pragnie wywierać wpływu na sprawy publiczne, nie posiada ambicyj, nie chce wyróżnić się, nie pożąda sławy. Jeżeli rzuca się na pole pracy literackiej, czyni to najczęściej z potrzeby, z niedostatku. Utwory belletrystyczne autorek niemieckich są dziwnie bezbarwne, banalne, szablonowe, przystosowane do wymagań wydawców, którzy zapełniając niemi szpalty rozmaitych *familijnych* pisemek, na tego rodzaju literaturze robią właśnie interesa. Jest to w pełnem znaczeniu tego wyrazu—rodzaj nudny.

Drugiem polem, na którem spotyka się w Niemczech najwięcej kobiet zmuszonych okolicznościami do pracy zarobkowej, jest nauczycielstwo. I tu Niemka stara się iść utartymi szlakami, i tu nie wnosi żadnych świeżych, oryginalnych pierwiastków.

Prądom emancypacyjnym nie dały się Niemki ogarnąć w tym stopniu, co kobiety innych krajów. Nie umieją one brać rzeczy gorąco. Wszelkie ich wystąpienia zbiorowe w obronie praw niewieścich, petycye do parlamentu i t. p. cechuje najwyższy spokój i umiarkowanie.

Radykalne idee społeczne znajdują pomiędzy kobietami niemieckiemi niewiele zwolenniczek. Zdarzają się wprawdzie takie, które pióra swe poświęcają propagandzie teoryj Bebla lub Liebknechta, czynią to jednak niemal zawsze w sposób oschły i nudny. Jeżeli pośród zwolenników reformy społecznej spotka się jakąś jednostkę niewieścią gorętszą, hałaśliwszą, czynniejszą, można być pewnym, że to nie Niemka z pochodzenia lecz Izraelitka.

Ambicyj towarzyskich, salonowych Niemka nie posiada. Nie stara się zabłysnąć dowcipem, talentami, urodą, nie pożąda zabiegów i hołdów.

Życie jej wypełniają obowiązki rodzinne, zajęcia domowe, gospodarstwo. Chwile wolne spędza Niemka w restauracyi, w ogródku, przy piwie, lub kawie. W pewnych godzinach dnia można we wszystkich zakładach tego rodzaju zastać mnóstwo kobiet ze sfer średnich. Przy stoliku spotyka się tam żona urzędnika z żoną profesora, lub duchownego.

Panie piją kawę, zwierzają się sobie z różnych kłopotów i trosk domowych, udzielają nawzajem wiadomości o znajomych i sąsiadkach i t. p. Potem spokojnie rozchodzą się do domów. O innej znów porze widzieć można zapełnione kobietami cukiernie. Od podlotka do niewiasty dojrzałej zchodzą się tam wszystkie na ciastka. Spożywaniu tych ciastek oddają się z namiętnością prawdziwą.

Jak wszędzie tak i w Niemczech kobiety czytują więcej niż mężczyzni. „Chcesz poznać człowieka, dowiedz się, *co* czyta," — powiada przysłowie. Pani Marcholm twierdzi, że należałoby raczej wziąść pod uwagę *dlaczego* czyta. Angielka szuka w książce pożywnej strawy dla umysłu, Francuzka—zabawy lub podniety, Niemka—odurzenia. Długie, nudne, banalne powieścidła, któremi zapełniane bywają szpalty różnych czasopism niemieckich, stanowią dla niej rodzaj narkotyku, działają usypiająco. W miłej drzemce duchowej kobieta niemiecka przepędza nad niemi całe godziny. Od lektury tej podnosi się niby wyrwana ze snu, głowa jej cięży, lekki dreszcz wstrząsa ciałem. Z tymi samemi symptomatami podniosłaby się także, od haftu lub szydełka. Przy robótce ręcznej zapaść można również w ten szczególny stan pół snu pół jawy, w którym tak miło jej pozostawać. Czy Niemka lubi czytać? Lubi w tym samym stopniu, co robić szydełkiem, jeść ciastka i t. p. Wszystko to równie dobrze służy jej do zapełnienia czasu.

„Ależ to strasznie ograniczona istota," słyszę, jak wykrzykujesz czytelniku — powiada pani Marholm — i mylisz się bardzo.

Podług p. M. Niemka nie zasługuje bynajmniej na ten epitet. Jest to natura bogata, której rozwój i rozrost tamuje otoczenie. Niegdyś w epokach entuzyazmów religijnych, politycznych czy literackich kobieta niemiecka brała żywy udział w ogólnym ruchu umysłów, wówczas mogła żyć, czuć, myśleć. Dziś, w dobie militaryzmu i hec parlamentarnych ona wegetuje zaledwo, zaledwo połową istoty swojej żyje. W atmosferze moralnej dzisiejszego świata dusze kobiece więdną. Nie mogąc żyć pełnią sił swoich, kobieta niemiecka zamknięta w domu, osamotniona narkotyzuje się marzeniami własnemi, którym popuszcza wodze, podczas gdy oczy i ręce niby robotą jakąś są zajęte, lub odurza się czytaniem. A nie należy mieć jej tak bardzo za złe, że czyta rzeczy liche. Alboż w tym wieku naszym takim jałowym i bezbarwnym powstają jakieś dzieła o nieśmiertelnym pierwiastku piękna? Ona czyta to, czego jej wytwórczość dzisiejsza dostarcza.

Nigdzie chyba kobieta nie jest tak mało rozumianą przez mężczyznę jak w Niemczech—pisze w dalszym ciągu p. Marholm.

Co prawda trudno dziwić się temu. Jeżeli obraz nakreślony przez autorkę jest trafnie pochwyconą podobizną niewiasty niemieckiej, trudno nie nazwać niezrozumiałą tej szczególnej istoty, niby wiecznie tęschniącej do ideału, a takiej przytem biernej i słabej, że z tej tęczy snów swoich ani jednego promyka nie stara się ściągnąć na ziemię, i w braku wzruszeń potężnych, porywów, zachwytów, zadawalnia się robotą na drutach, chrupaniem ciastek, plotkami i czytaniem ogłupiających romansów.

Mimowoli nasuwa się podejrzenie, że duma narodowa kazała autorce w braku widocznych zalet wyposażyć rodaczki swoje w tę tęsknotę tajemną, której zresztą nie zdradzają one niczem. Nie maluje się ona nawet na twarzach ich, które, jak sama p. Marholm przyznaje, zastanawiają brakiem wyrazu.

Miłość Niemki nie jest ani zmysłową, ani namiętną. Jest to uczucie ciepłe, spokojne, w którem pierwiastek macierzyńskiej troskliwości przeważa. Jako matka cieszy się Niemka w rodzinie wielką powagą. Dzieci mają dla niej szacunek i przywiązanie.

Oto mniej więcej treść artykułu p. Marholm. Jak widzicie czytelniczki nie jest to wyczerpujące studyum. Nie znajdujemy w niem wzmianki ani o kobiecie z ludu, ani o kobiecie z wyższej sfery, ani o nowożytnym typie kobiety współzawodniczącej z mężczyzną na polu pracy i nauki.

Poznałyśmy tylko średniej zamożności mieszczankę, a i tę ukazała nam p. M. w dziwnem jakiemś oświetleniu, w którem kontury postaci jej nie występują jasno i wyraźnie. Mamy wrażenie, że nie jest to istota ze krwi i ciała lecz mgliste zjawisko jakieś, wytwór wyobraźni pani Marholm.

F.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Na razie widział tylko, że niebezpieczeństwo przeminęło, oddalone, i doświadczył ulgi.

Lecz w sekundę poczuł na dobre całą grozę i siłę z jaką ono przeszło nad jego głową i nagle zastygły w nim wszystkie miękkie i łagodne podszepty i uczucia z przed chwili. Nie był

zdolnym zastanawiać się, czemu *tamten* się usunął, czy za jej odprawą, czy z innych jakich powodów. Natomiast duszę jego poczęła zalewać okropna gorycz, płynąca z jej wyznania, z tej świadomości, że inny *mógł* w niej szał zapalać, i to w kilka tygodni po tem, jak jemu powiedziała „kocham."

— Więc gdzież była jej miłość? Jaką była ta miłość? Jaką?!

Zrozumiał nagle słowa jej listu i tak dalece, że jak w świetle pioruna, ujrzał jednym błyskiem jasnowidzenia ogrom swego nieszczęścia w bezmiernem przywiązaniu dla niej. Przeniewierzała się już dziś chęcią, myślą, zamiarem, to z tym, to z owym; on lekceważył wzmianki o Piotrze Vico, o Hubiczu, o innych, ale teraźniejszość widział, przyszłość i swą dolę przewidywał, i już przyznawał przed sobą, że zgoła nie zakosztowywa, więc i nigdy nie zazna przy niej tego spokoju, tej ciszy i pewności, co przy boku Maryi. Ale zarazem czuł, że namiętność bierze w nim górę nad wszelką rozwagą i siłą powstrzymującą, że niemal jeszcze potężniej i wprost pcha go w przepaść z szalonem przekonaniem, że musi tam iść, bo nie może inaczej, bo musi, bo niezdolny ugasić ognia, który już życie z inną czynił niemożebnem, a życie z tą jeszcze stroił w złudzeń czarowne obrazy.

I przez tę chwilę milczenia, jakie zapadło między niemi, ta cała wrząca fala przewaliła się przez jego duszę, ukazując głębię swoich nurtów.

Ona tymczasem po krótkiej walce między miłością własną, a jakimś przypływem szczerości, pod której impulsem już poprzednio działała — z rozbłysłemi oczyma poczęła mówić:

— Więc ja dlatego napisałam ci, byś nie kochał mnie, zapomniał, bo ja nikomu szczęścia dać nie mogę. Sama siebie dobrze nie rozumiem, lecz mam tak dziwne usposobienie — przekonałam się... ja nie powinnam z tobą się łączyć, a ty o mnie dobijać i porzucać Maryi.

Oroński spojrzał.

Słowa jej, mimo łagodzącego „nie powinnam" zamiast zwykłego „nie chcę" — wydały mu się więcej niż ironią, naigrawaniem się i poprostu okrutnem pastwieniem.

Gorycz go zalewała.

— Nie kochać cię? — podjął potrząsając głową, — o, to rozkaz wielce spóźniony!... Nie oddychaj i żyj! tak, probuj tego!... Ha! może zresztą wy kobiety umiecie zmieniać uczucia jak suknie i wkładać je w pierś lub wyjmować, jak kolczyki z uszu! — wypowiadał już coraz gwałtowniej. — Więc ty nie mów, żeś „nie powinna" łączyć się ze mną, bo dziś już innej przysięgać nie mogę, i zerwę wszystko, jutro zerwę; kończy się mus, który wiązał mi ręce. Słyszysz? ja zerwę, a ty będziesz moją!... Nikt cię nie weźmie, bo ja nie pozwolę! — rzucił wkońcu i rękę jej chwyciwszy, zgniótł w dłoni, że z bólu syknęła.— Tak! wszystko rzucę, wyjadę gdzieś daleko, bo tu życie stanie się dla mnie ze wszechmiar niemożebnością... Zerwę wszystkie plany, zburzę mą pracę, zamiary, dawne chęci, niech się wali wszystko i rozpada, a ty będziesz moją! — powtarzał już tak porwany burzą, iż oczy krwią mu nabiegały, a głos chrypnął i pot kroplami występował na skronie.

Cała namiętność, walka z sobą, walka z nią, wszystkie pożądania i udręczenia kipiały w nim i wybuchały. I widział w tej chwili niejako żar płomieni, które obejmowały cały gmach jego pragnień, zadań i celów życiowych, podrywając już wszystkie ścięgna i wiązadła i niosąc zniszczenie i zagładę. W duszy słyszał huk i trzask tych druzgotanych u podstaw gmachów, lecz mimo świadomości, że sklepienie na głowę się wali, mimo nawet rozpaczy i wściekłości jakie nim miotały, postanawiał wytrwać i raczej zginąć niż ustąpić, i swego nie dopiąć i jej nie posiąść.

Ada ręce skrzyżowała na piersiach i siedziała ogłuszona, przestraszona, blada.

Ujrzała się za blizką krwawej akcyi. Już nie obojętnem jej było jak zwykle, co na scenie pogruchotanem zostanie. Zwaliska padały, przyciskały ją, instynktem przenikała grozę położenia.

Lecz w duszy jej powstawał tylko chaos. Strach z oszołomieniem obejmował ją, odurzał, i ledwo z tego odmętu poczęło wypływać coś nakształt zadowolenia miłości własnej, którą Kościesza upokorzył, ugiął a *ten* znowu podnosił swą wielką miłością i pożądaniem.

I nie miała sił do oporu, ani nawet świadomości czy chce się opierać. Wpół przytomna, tylko we wstręcie do ograniczeń i więzów pozostała po części sobą i rzekła:

— Będę więc twoją, będę, tylko nie zaraz, nie zaraz...

Głos jej chwiał się, piersią tchnęła jakby zdyszana.

— Ja wyjadę, odpocznę, powrócę, trzy miesiące daj mi czasu, ale ani zajrzyj, ani napisz, ani zapytaj o mnie — mówiła przerywając. — Tyś szalony dziś, nie wiesz co robisz, wytrzeźwij i mnie pozwól ochłonąć... Jestem tak wzburzona, rozstrojona, chora. Pojadę...

— Do Keniów? — przerwał Janusz, niezdolny przeciw niczemu zakładać protestu.

I tak się rozstali, oboje zgorączkowani i moralnie wzburzeni.

XV.

Rozmowa z Maryą Roger, do czego Oroński tak dawno się przygotowywał, w ostatniej wszelako chwili wydała mu się stokroć trudniejszą do przeprowadzenia, niż sądził.

Obok tego co żywił on i przeżywał dla Ady, uczucia jego względem Maryi przechodziły też swój proces rozmaity. O ile przytomnie rozpatrywał sytuacyą, o tyle żywo czuł swą winę i pogłębienie jej przez to przeciągnięcie sprawy, przymusowe, wprawdzie, niemniej przeto zwiększające fałszywość położenia i skalę przykrości.

Przytem wewnętrzna jego istota rozrywała się poniekąd na dwoje. Przy tamtej był cały szał, ogień, pragnienia, żądze, gra zmysłów i rozkoszy spodziewanych; w myśli o tej zadowolenie znajdowało wszystko, co znaczną część dobra w życiu człowieka stanowi: pewność jutra, spokój o tę przyszłość swoją i rodziny, jedność i harmonia między czynem a zasadami, i nawet przekonanie, że tak w działalności, jak w tem, co za dobro moralne się poczytuje, możnaby wzrastać, nie ustawać.

To czuł i widział z każdym dniem wyraźniej, na podobieństwo żeglarza, który z zapałem rzuciwszy się na spienione morze, poczyna cenić, a przynajmniej rozpamiętywać spokój przystani w miarę jak fale go ogarniają, bałwany chłoną, przepaść pożera.

Przytem podczas ostatnich tygodni, przy łożu chorego ojca, wśród nieustającej trwogi i troski, miał znów sposobność po wiele razy przypatrzeć się niezwykłej dzielności serca Maryi; tak, iż pożycie z nią, jakie w poprzednich swych nadziejach układał, przesuwało się przed nim w obrazach pełnych niezakłóconej pogody i harmonii. Więc głębokie uwielbienie i uznanie jej wartości odżyło w nim; zresztą i wrodzona mu dobroć serca tak się odezwała, że mimo samolubnego zapamiętania, w jakie wtrącała go miłość, począł poprostu cierpieć nad tem, że on właśnie krzywdę i ból wyrządza kobiecie, którą tak wysoko ceni, i której tyle praw do szczęścia przyznaje w swem przekonaniu.

Dlatego było mu niezmiernie trudno otworzyć usta.

Ale panna Roger oprócz męztwa i siły charakteru miała wielką przenikliwość serca, w tym razie zaostrzoną przywiązaniem. Dla niej zmiany, jakie zachodziły w nim, dawno były jawne i zrozumiałe.

Pannę Smieńską znała cokolwiek z krótkiego pobytu w szkole pani Darskiej; z opowiadań stokroć lepiej, a znała jako zalotną i pełną uroku istotę. O pokrewieństwie i początkowych jej stosunkach z Orońskim wiedziała z jego ust, gdy w pierwszej epoce swobodnie o tem mówił. Następnie, gdy poznawszy swą miłość usiłował ją pokonać i zaprzestał wspominać Ady, Marya milczenie to zauważyła. Po powrocie zaś z Wiesbadenu, w rysach jego, które już z niepokojem badała, wnet postrzegła smutek, przygnębienie, walkę; a w obejściu wkrótce poczuła te nieuchwytne różnice w stopniach serdeczności, z których on nie zdawał sobie sprawy, lecz w których ona poznawała coraz więcej życzliwości brata, coraz mniej uniesień narzeczonego. Przytem obracała się ona również pomiędzy ludźmi; niejednokrotnie zatem uchwyciła jakąś uwagę lub przypuszczenie, które z tajemnemi obawami połączone, stwarzało coraz okropniejszą pewność. Więc serce jej poczynało drżeć o swe szczęście i niejako przygotowywać się do ogromu przyszłego ciosu, choć tak wierzyła w jego prawość i charakter, tak ufała w siłę dobrego w życiu i w rządach świata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Opowieść o pewnym domu *nawiedzanym przez duchy.*

Od kilku tygodni poruszona do żywego prasa francuzka zapełnia swoje szpalty sprawozdaniami z nadzwyczajnych wydarzeń, których widownią ma być pewien dom zamieszkały przez rodzinę złożoną z rodziców, ich matki starej, syna 15-to letniego i 6-cio letniej córki. Wchodzi tam także do akcyi lekarz domowy, jakiś pan Schnebelin inscenizator tej całej komedyi, wreszcie dwie służące.

Co się tam działo, opisywać nie widzieliśmy dotąd potrzeby żadnej, nie przywiązując do faktu w czasie najgorętszej wrzawy dziennikarskiej najmniejszego znaczenia, i dzisiaj nie rozmazywalibyśmy całej tej farsy, gdyby nie ekspertyza le-

karska, która chyba nareszcie całej wrzawie koniec położy.

Dzieje się to wszystko we Francyi w Valence-en-Brie, a kto zna objawy nadprzyrodzone, które w swoim czasie niepokoiły opinią w Ameryce, gdy w rodzinie Foxów działy się nadzwyczajności, o jakich ucho ludzkie nie słyszało i których nie oglądało oko śmiertelnego człowieka, ten sobie o awanturach w tej rodzinie francuzkiej przybliżone stworzyć może pojęcie. Były tedy i tutaj głosy ludzkie i nieludzkie jakieś wycia, tłuczenie szyb, rozbicie lustra, przedmioty zmieniały miejsce i t. d., i t. d. Słowem nie brakło niczego. Publiczność miejscowa traciła głowy, przyjezdni głupieli i rozwozili najnieprawdopodobniejsze wieści, a reporterya całej prassy po skonstatowaniu stanu rzeczy na miejscu, i znalezieniu wszystkiego co widziała nadzwyczajnem — nieprawdopodobnem—cudownem, dopełniała swoim miłym zwyczajem zamętu, który też istotnie przybrał wcale niezwyczajne tym razem rozmiary. Jednem słowem co było niedorzeczności do powiedzenia, faktów do naciągnięcia i kłamstw do powtórzenia, to się wszystko powiedziało, naciągnęło i powtórzyło.

Tak się miały te rzeczy aż pod koniec ubiegłego tygodnia.

Faktem, który tu zaszedł i który niewątpliwie wpłynie na wyświetlenie przed opinią mistyfikacyi całej, był przyjazd na miejsce znanego doktora Archambault redaktora naczelnego czasopisma „Revue medicale,” który rozpoznawszy co było do rozpoznania w asystencyi p. Jerzego Collet sprawozdawcy „Figara” takie za pośrednictwem tego ostatniego daje wytłómaczenie objawów.

Opinią tę przyjmuje w całej rozciągłości domowy lekarz rodziny nawiedzonej doktór Paté, który jednak milczał do tej pory, związany jak utrzymuje zobowiązaniami swojej professyi.

Nie zaprzecza bynajmniej słynny lekarz francuzki, że słyszał głosy i wycia, że znalazł potłuczone szyby, rozbite lustro, że przedmioty pozmieniały miejsca, ale dlaczego między wszystkimi odwiedzającymi utworzył się jakiś rodzaj milczącego porozumienia w celu przeinaczania faktów i przemilczania o okolicznościach towarzyszących, które wystarczały zupełnie do objaśnienia objawów, tego nie rozumie doktór Archambault zupełnie.

Lustro rozbite. Prawda, rozbite, ale po co komentarz przy tem, że rozbite z tyłu bez naruszenia ramy i deski, na której spoczywa tafla szklanna? W obecności prokuratora powtarzano strzał do lustra, kula zrobiła znak zupełnie ten sam jaki był poprzednio, nie obraziła deski spodniej, i gdyby tylko służąca miała należytą ilość zmysłu krytycznego, gdyby była zupełnie wolną od suggestyi panującej w tym domu obłąkanych, byłaby odnalazła i kulę w śmieciach, które tego dnia wyrzucała, jeśli jej tam ręka zainteresowana nie usunęła wcześniej. Tyle co do owego lustra.

Bardzo ciekawym egzemplarzem jest ojciec rodziny. Odgrywa on swoją komedyą jak nie można lepiej. W jego domu dzieją się same rzeczy nadprzyrodzone, szyby pękają, ktoś niewidzialny strzela do lustra, słychać jakieś ryki zwierzęce; lekarz miejscowy ostrzega tego człowieka, że pobyt dla jego rodziny w tym domu cudownym jest ze wszelkich względów niebezpiecznym, on tymczasem wyjeżdża sobie do Paryża, zostawiając złośliwym duchom na ofiarę żonę chorą, syna wyrostka, córkę sześcioletnią, którzy pozostają i nie zdradzają oznak niepokoju zupełnie. Ot pogodzili się z faktem; strachy? — niechże sobie będą strachy! Szczególnie też zachowują się oni wszyscy wobec badań doktora Archambault. I tak: papo zrazu opowiada z rodzajem dumy o ilości reporterów, która do tej pory dom jego nawiedziła, chwali się, że portret jego córeczki wisi po wszystkich redakcyach paryzkich, a za chwilę podnosi zrozpaczony ręce do góry i deklamuje z patosem jak się czuje nieszczęśliwym, i jakby rad jednej godziny wynieść się z tego przeklętego siedliska duchów. Dlaczego tego nie robi — nie powiada wcale. Dziewczynka jest rozbawiona, uszczęśliwia ją ta mnogość odwiedzających, a niedorostek o typowej twarzy histeryka mówi głosem szczególnym, ostrym, a dziwnie przypominającym jakoś brzmieniem, ryki wydawane przez ducha. Staruszka babcia mieszając w rondlach kuchennych w porze przedobiadowej, gwarzy sobie tonem śpiącym o tem, że ich duchy chcą ztąd wypędzić, jak gdyby duchy codzienne kogoś z domu wypędzały, i jak gdyby to wszystko nie oddziaływało na nią wcale.

Pozostaje tedy jeszcze owa matka rodziny, pani Labègue, bo jej nie nazwaliśmy dotąd nawet—ta która jest chora, i o której da się powiedzieć najwięcej. Czy jest wistocie chora? Ten pan Schnebelin leczy ją przy pomocy umieszczania na wierzchu głowy liścia kapuścianego, który ma działać uzdrawiająco. Zdaniem d-ra Archambault, gdyby się odżywiała należycie, byłaby zdrową zupełnie, ale ona odmawia pożywienia, daje do zrozumienia gestami, że jej duch nie pozwala ani jeść, ani mówić, co jej nie przeszkadza za chwilę, gdy się zjawi kumoszka jakaś po jej myśli, rozpuścić język, ktory się nie zatrzyma aż po godzinie pracy.

Jeszczeby należało coś powiedzieć o tym głosie, który ryczy a nie wymawia słów żadnych. Byłoby to rzeczywiście dosyć zagadkowem, ale ponieważ krewny pacyentki zeznaje, że zupełnie tej samej natury ryk słyszał z ust pani Lebègue przed paru miesiącami, kiedy to jeszcze mowy o duchach nie było, więc to zjawisko staje się także nieco podejrzanem.

Pytał podówczas świadek chorej, dlaczego ona ryczy tak brzydko, na co chora z całą dobrą wiarą odpowiadała stale, że ona już tak musi. Otóż wnioski, jakie wyprowadził z tego wszystkiego d-r Archambault są takie:

Wszystko jest dziełem chorej pani Labègue, która oddziaływa na wyobraźnie: córki, syna i służącej — histeryków niewątpliwych i typowych. Za jej suggestyą błądzą oni po domu całym od dachu do piwnic, krzyczą, tłuką, trwożą się i kłamią z dobrą wiarą, właściwą takim suggestyonowanym. Papa i babcia dobrej wiary nie mają wcale, ale że im się z tem dobrze dzieje, więc grają sobie komedyą, a grają podobno wcale nieźle. Środki zaradcze dla trojga histeryków: Jak najrychlejsza izolacya całego gniazda i zimne natryski, jeżeli wszyscy nie mają się znaleźć w niedługim czasie w domu obłąkanych.

Nie ma także chyba dobrej wiary pan Schnebelin, który z przedziwną otwartością objaśniał d-rowi Archambault znaczenie objawów. Twierdzi on, że jest to działanie, jakichś nieprzyjaciół rodziny na odległość kilku kilometrów, że eksteryoryzacya taka jest najzupełniej możliwą, a najlepszym dowodem według niego jest to, że on sam miał niejednokrotną sposobność eksteryoryzować się zupełnie.

Takim ciężkim argumentem przytłoczonemu d-rowi Archambault pozostało tylko prosić o dowody. Sznebelin zgodził się, wziąwszy od doktora i towarzyszącego mu dziennikarza po jednym przedmiocie codziennego użytku, a w zamian przyobiecał dać o sobie wiadomość w nocy z niedzieli na poniedziałek. Obaj mieli być tej nocy ciężko poturbowani w swoich łóżkach, nadto kapelusz doktora miał zmienić miejsce, a biblioteka pana Collet uledz zupełnemu rozrzuceniu.

Ci dwaj zagrożeni obudzili się w poniedziałek bez żadnych na ciele obrażeń; kapelusz doktora leżał na swojem miejscu, a w bibliotece pana Collet ani jedna książka nie poruszyła się.

Oto wiadomość o domu nawiedzanym przez duchy, która przez tyle tygodni zaprzątała chorowite wyobraźnie ludzkie dzięki roztropności prasy francuzkiej. Dosyć słusznie jak widać spiewa sobie ta prasa takie pochwały i ogłasza się jakąś V-tą czy VI-tą potęgą.

α.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою Варшава 2 Іюля 1896 Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**